



Tadeusz Wujec, absolwent
Publicznej Szkoły w Gorajcu,
nauczyciel akademicki w Instytucie Fizyki
WSP i Uniwersytetu Opolskiego,
dr hab. z zakresu fizyki, fizyka atomowa
prof. nadzwyczajny Politechniki Opolskiej.

Wspomnienia Tadeusza Wujca

ur. 03.06.1938 r. w Podborczu

W Publicznej Szkole Powszechnej w Gorajcu ukończyłem V, VI i VII klasę. Zostałem absolwentem tej Szkoły w 1952 r. Cztery pierwsze klasy szkoły podstawowej ukończyłem w Publicznej Szkole Podstawowej w Podborczu. Szkoła w Gorajcu była faktycznie szkołą zbiorczą w stosunku do szkół czteroklasowych w okolicznych wioskach, dlatego moje wspomnienia zacznę od wcześniejszego okresu.

Po przejściu frontu wojennego w lipcu 1944 roku, już jesienią wznawia działalność Publiczna Szkoła Podstawowa w Zaburzu. Moi koledzy z rocznika 1937 mają obowiązek rozpocząć naukę w szkole. Stawiają warunek: będą chodzić do szkoły, jeżeli Tadek będzie z nimi chodził. Po długim namyśle, moi rodzice wyrażają zgodę i wraz ze starszym rodzeństwem, jako sześciolatek, uczęszczam do szkoły w Zaburzu. Istniało wówczas przekonanie, że tego co masz w głowie, nikt ci nie zabierze. Maksyma ta powstała, moim zdaniem, jako wynik losów rolników, okradanych przez wszystkich, którzy posiadali władzę, zarówno przez obcych jak i rodzimych.

Odległość z rodzinnego domu do szkoły na Zaburzu wynosiła ponad 2 km. Droga była kawałkami utwardzona, przez Zakręcie ceglana, przez łąki w pobliżu rzeki Gorajec kamienista, a od przydrożnej figury do samej szkoły, wiosną i jesienią – błotnista. Na poboczu drogi leżały jeszcze rozbite samochody, a w pobliżu rzeki, zaryty w bagnie, niemiecki czołg. Most był zerwany; pozostało jedno przęsło, po którym można było przejść dzięki zamocowanej poręczy. Jednak zimą przęsło było oblodzone i przejście przez most było niebezpieczne dla pierwszaków.

W starym budynku szkolnym pracowała para zasłużonych nauczycieli. Lekcje dla wszystkich roczników, odbywały się w jednym dużym pomieszczeniu. Uczniów było bardzo dużo, pochodzili nie tylko z Zaburza, ale z Latyczyna, Dzielec i Podborcza. W klasie czułem się jak w gęstym lesie. Pan nauczyciel wymuszał naukę srogimi karami. Podczas odpytywania z tabliczki mnożenia wielu klęczało w kącie, a odpytywany, kiedy poprawnie nie odpowiedział, był bity plecionką po szyi. Wystraszony, uczyłem się tabliczki mnożenia na pamięć. W trakcie nauki pewien przebywający w rodzinnym domu gość powiedział mi: „Naucz się do pięciu, a więcej możesz odczytać, ze swoich dziesięciu palców”, i pokazał mi, jak to robić. Miałem ze sobą ściągawkę i w stresujących sytuacjach korzystałem.

W okresie występowania błota, na wspomnianym odcinku drogi, trudno było zachować czyste buty, a do klasy nie można było wchodzić z zabłoconym obuwem. Pewnego razu, podczas wchodzenia do klasy, nauczyciel zauważył, że mam zabłocone buty i wyrzucił mnie za drzwi. Po drugiej stronie drogi na pagórze było dużo suchej trawy; przedostałem się więc przez błotnistą drogę i wyczyściłem buty trawą. Wracając, znów ubrudziłem buty; należało znaleźć jakieś wyjście. Pomyślałem: pagóra nie mogę przenieść, ale wiązkę trawy bez problemu; tak też zrobiłem.

Nachodzi zima; Tato zrobił mi buty drewniaki, ciężkie, ale ciepłe. Podczas silnych zamieci podwozi nas saniami do szkoły. Jest dużo śniegu. Chłopi z Zaburza transportują jodły z lasów biłgorajskich lub Puszczy Solskiej na budowę budynków gospodarczych i domów mieszkalnych. Korzystając z tej okazji, chwyciłem się za koniec jodły i jechałem na butach. Często udawało mi się przebyć więcej niż połowę drogi do szkoły. Zdarzało się również, że furmani przyspieszali na zakrętach drogi i byłem wyrzucany po stycznej, lądując w głębokiej zaspie.

Do ogrzewania sali lekcyjnej służył duży kaflowy piec. Gdy zabrakło drewna opałowego, nauczyciel kazał uczniom przynieść z domu po kilka polan, otrzymanych z porąbanego pniaka. Na drugi dzień z rana wybrałem na drewutni kilka polan i włożyłem do torby z przyborami. Mama powiedziała, że to za dużo dla mnie i zamieniła polana na dużo mniejsze; protestowałem, ale mnie nie posłuchała. W drodze do szkoły spotkała mnie wcześniej opisana przygoda z zaspą. Gdy w szkole należało oddać polana, w torbie znalazłem tylko małe drewienko. Nauczyciel pokazał ten eksponat klasie, co wywołało ogólną radość. Na moje szczęście, w tej chwili na dziedziniec szkoły wjechały sanie naładowane

drzewem. Nauczyciel wyznaczył kilku rosnących uczniów do rozładowania sań i przygotowania drewna do pieca.

Pod koniec zimy wracam ze szkoły wraz z dużą grupą uczniów. Przeprowadzamy się przez rzekę. Podchodzi do mnie rosnący uczeń i mówi: co będziesz stał w kolejce, możesz przeskoczyć przez rzekę, popatrz jak ja to robię. Przeskoczył w jedną i drugą stronę rzeki. Zdecydowałem się przeskoczyć, ale gdy nabrałem prędkości, on wyprzedził mnie, przeskoczył i celowo oberwał łód od przeciwnego brzegu; wylądowałem w tej szczelinie, z wodą po pierś. Z trudem wyostałem się z tej kąpieli. Było słonecznie, ale mroźno. Czułem że zamarza na mnie ubranie, po przejściu około pół kilometra stało się zupełnie sztywne. Władzio Dziura, młodszy brat sprawcy, zaprosił mnie do swego domu. Jego mama zrzuciła ze mnie ubranie i wysadziła mnie na ciepły piec, gdzie czekałem na ekipę ratunkową z domu. Konsekwencją mojej łatwowierności było pięć wrzodów na brzuchu i długa absencja w szkole. Dotrwałem jednak do końca roku szkolnego. Przez otwarte drzwi przypadkowo zobaczyłem pomieszczenie, gdzie mieszkała para zasłużonych nauczycieli. Moja babcia Zofia Ferenc mówiła mi: możesz być wszystkim, ale nie złodziejem; po tym zdarzeniu uznałem, że nie chcę być nauczycielem. Moje starsze rodzeństwo, siostra i brat, otrzymali świadectwa, ale ja nie otrzymałem. Okazało się, że uczęszczałem do szkoły nielegalnie.

We wrześniu 1945 r., w kuchni mojego rodzinnego domu wznawia działalność szkoła w Podborczu. Dla rodziny pozostają dwa pokoje, zwane chałupkami, i piwnica pod całym domem, zwana suteryną, wykorzystywana do celów gospodarczych. Nauczycielem jest jeszcze pan Gaczoł i pani o kasztanowych włosach, chyba jego żona. Uczniowie w różnym wieku pochodzą nie tylko z Podborcza, ale i z Dzielec i Tokarki. Kiedy zajęcia prowadzi p. Gaczoł, w klasie jest znaczny hałas; kiedy zajęcia prowadzi Pani, moja babcia zagląda przez uchylone drzwi i sprawdza, czy uczniowie rzeczywiście są w klasie. Tym razem jestem legalnie uczniem pierwszej klasy. Zima jest nie tylko śnieżna, ale i mroźna. Uczniowie z sąsiednich wiosek nie mają ciepłych ubrań i przychodzą rano ze zgrabiętymi rękami i nogami. Mama powierza mi rolę sanitariusza, ściągamy im rękawice i buty. Wkładają kończyny do zimnej wody i po pewnym czasie mogą nimi swobodnie poruszać. Na lekcji z matematyki, prowadzonej przez nauczycielkę, odgadujemy, jaką cyferkę należy wstawić do kwadracika; padają różne propozycje, jedne są poprawne, inne błędne. Biorę w tym udział, ale nie podoba mi się taka zgadywanka. Po lekcjach wchodzę po drabinie na strych, gdzie znajdował się duży koszyk wiklinowy, pełen starych książek i zeszytów. Grzebiąc w tych starociach, natrafiam na przedwojenne matematyczne

czasopismo o nazwie *Stery*, gdzie jest napisane, jak należy obliczyć poprawnie szukaną liczbę. Sądzę, że już wówczas odnalazłem sposób na własne doksztalcenie. Gry sportowe odbywają się na drodze biegnącej przez wieś i na drodze dojazdowej do podwórka.

W następnym roku szkolnym (1946/47) szkołę przeniesiono do domu Jana Piwowarka, położonym na Nawsiu. Był to teren zalewowy i w czasie wiosennych roztopów dojście do szkoły było utrudnione. Mamy młodego nowego nauczyciela, pana Zbigniewa Przybylskiego. Ostro zabrał się za ortografię; za popełniony błąd ortograficzny, każe przepisywać dany wyraz po sto razy. Nie mamy na czym pisać, piszemy na papierze z worków cementowych, otrzymywanych od „cioci” UNR-y, i nauczyciel rezygnuje z tej metody. Zimą na zamrzniętym stawie Kamieńskich urządzamy karuzelę – kto ma dobre buty, bierze udział w zabawie. Podczas zabawy w klasie szmacianą piłką, wystająca nitka zahaczyła o mój palec i piłka powędrowała w szybę okienną. Powstał poważny problem, bo drogi były zawiane śniegiem i przywiezienie szyby ze Szczebrzeszyna było niemożliwe. Mój tato zrobił dużą wiązkę ze słomy i wstawił w okno zamiast szyby. Po paru dniach naprawiono spowodowaną przeze mnie szkodę. Z przechowanego świadectwa z drugiej klasy wynika, że byłem dobrym uczniem.

W okresie dwóch lat mieszkańcy Podborcza, wkładem własnej pracy i opodatkowaniem po 100 zł od hektara posiadanej ziemi, zbudowali budynek szkolny na placu gdzie stał poprzedni budynek, spalony w 1939 r. W budynku szkolnym znajdowało się duże pomieszczenie na zajęcia lekcyjne i pomieszczenie socjalne dla nauczyciela. Obok budynku duży plac i boisko do siatkówki – posiadamy prawdziwą piłkę do siatkówki! Podczas uroczystego przekazania budynku szkole, na którym było dużo rodziców, na nie zapowiedzianej wcześniej części artystycznej, poproszono Stanisława, żeby powiedział wiersz. Powiedział tytuł i nic więcej; poproszono mnie, ale i mnie się nie udało. Sytuację uratował Broniek, deklamując wiersz o 14 zwrotkach, zaczynający się słowami: *Od większego nie ma zucha jak był Stefek Burczymucha...* Wiele lat temu doświadczony nauczyciel powiedział mi, że niepowodzenia w nauce są równie inspirujące jak sukcesy.

W ciągu dwóch lat szkolnych do 1947 do 1949, tzn. kiedy byłem w trzeciej i czwartej klasie, mieliśmy już dobre warunki do nauki. Rodzice uczniów zadbali o warunki bytowe dla nauczyciela – stołował się kolejno u różnych gospodyń, dzierżawił szkolne pole orne o powierzchni 1 hektara. W ramach zagadnienia:

poznaj swoje środowisko przyrodnicze, odbyła się wycieczka na górę Czubatkę w Cetnarze. Uczniowie czterech klas wzięli też udział w wycieczce, na furmankach, do Zamościa. Odbywały się wzajemne wizyty z uczniami ze szkoły w Chłopkowie.

Nadszedł czas opuszczenia szkoły w Podborczu. Nie wszyscy uczniowie z mojej klasy podjęli dalszą naukę w szkole w Gorajcu. Wygląd budynku szkolnego w Gorajcu nie był imponujący: byliśmy pokoleniem wojennych dzieci i drewniany, ponemiecki barak nie kojarzył się nam pozytywnie. Jednak w baraku, mieściły się dwie duże sale, przestronny korytarz i pokój nauczycielski. Piąta klasa miała lekcje we wschodniej sali, a szósta w zachodniej. Siódma klasa mieściła się w wynajętym mieszkaniu w sąsiednim gospodarstwie. Przy szkolnym baraku znajdował się duży plac z rzędem pięknych kasztanowców, latem rzucających cień na plac zabaw. Na wzniesieniu widniały mury niedokończonych – budowa została przerwana przez wojnę – budowli budynku szkolnego. Kierownikiem szkoły był Lucjan Sikora, który uczył nas fizyki, i j. angielskiego; pani Krystyna Turowska uczyła j. polskiego, pani Stanisława Sikora matematyki i śpiewu, a pani Justyna Mazur biologii. Po kilku dniach nauki kierownik zakwalifikował mnie do chóru szkolnego. Zapisalem się też do organizacji harcerskiej. Niestety, po kilku miesiącach, odgórnie, rozwiązano organizację harcerską. W ramach działalności harcerskiej zdążyliśmy tylko uporządkować cmentarz wojenny na Przykraj Górcie. Do j. angielskiego nie mieliśmy żadnych pomocy naukowych; jedyny słownik j. angielskiego posiadał Felicjan Wcisto, który dostał go od wuja z Anglii. Na lekcję kierownik przynosił małe radio i słuchaliśmy nadawanych lekcji. Zdążyliśmy nauczyć się alfabetu, gdy nauka angielskiego podzieliła los organizacji harcerskiej. Wprowadzono wtedy obowiązek nauki j. rosyjskiego. W piątej klasie miało miejsce kilka konfliktów między uczniami i uczennicami. Justyna Mazur potrafiła polubownie je załagodzić, nie informując o tym kierownika szkoły. W ten sposób pani Mazur zdobyła sobie naszą dużą sympatię. Pan kierownik na każdej przerwie przechadzał się po korytarzu z brzozową pałą, wzbudzając duży respekt. Tylko raz widziałem, a było to w szóstej klasie, jak użył tego narzędzia, wymierzając karę uczniowi, który podczas bójki złamał koledze obojczyk.

Z piątej klasy pamiętam jedną demonstrację na lekcji fizyki: nauczyciel rozbił szkło żarówki do latarki kieszonkowej i spalił włókno wolframowe, przepuszczając prąd z baterii. Zorganizowanie takiej demonstracji wymagało dużego zaangażowania nauczyciela, bo w tym czasie, były duże trudności z kupnem zarówno żarówek, jak i baterii.

Jeżeli nie myli mnie pamięć, to zdawaliśmy egzaminy przejściowe z danej klasy do następnej. Byłem przeciętnym uczniem, nie miałem w tym czasie warunków na poświęcanie więcej czasu na naukę; odrabiałem lekcje i szedłem do określonych obowiązków w gospodarstwie, również do pracy końmi w polu. Zadania z matematyki rozwiązywaliśmy razem z moją sąsiadką, Anielą Osman. Mam miłe wspomnienia dobrych koleżeńskich relacji pomiędzy mną, Anielą i Henrykiem Osmanem. W drodze powrotnej ze szkoły zawsze mieliśmy czas na rozmowę o różnych bieżących problemach. Odnośnie j. polskiego, pani Turowska dobrze znała warunki życia wiejskich uczniów: wiedziała że nie mamy za wiele czasu na czytanie lektur, dlatego robiła powtórki materiału, czy dodatkowe lekcje z literatury. Na końcowej szkolnej wywiadówce, po VII klasie, rodzice moi zapytali kierownika szkoły o ocenę moich możliwości życiowych. Kierownik odpowiedział, że mam wszystkie cechy, aby zostać dobrym rolnikiem. Postępowałem początkowo w tym kierunku, ukończyłem nawet technikum mechanizacji rolnictwa, ale nie podjąłem pracy w rolnictwie, wybrałem za to studia na fizyce.

Na zakończenie wracam do przywołanej na początku maksymy, tego co masz głowie, nikt ci nie zabierze. Ta maksyma ma ukryty sens: nie chodzi o to, żeby trzymać wiedzę w głowie, ale rozsądnie wykorzystywać ją dla poprawy bytu swojego, rodziny, czy społeczeństwa, a przede wszystkim, by przekazywać ją następnym pokoleniom. Jak powszechnie wiadomo, zdobywanie wiedzy, to permanentny proces na całe życie; kto się sam nie dokształca, ten cofa się w rozwoju. Dotyczy to nie tylko wybranych wąskich dziedzin nauki, ale i każdej ogólnej wiedzy. Obecnie mamy bum informacyjny; należy wciąż podejmować wysiłek intelektualny, aby odróżniać rzetelną informację od kłamstwa czy zwykłej propagandy.